Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Kaczki. Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 28 (876) 1 PAŹDZIERNIKA 1937 R.



Pięcioletni byk zabity na wolności (do art. na str. 552).

IX KONKURS FOTOGRAFICZNY „ŁOWCA POLSKIEGO"

Dorocznym zwyczajem ogłaszamy konkurs fotograficzny na artystyczne zdjęcia łowieckie z 1937 r.

Tematem zdjęć mogą być sceny z życia zwierzyny łownej w warunkach naturalnych, sceny myśliwskie, wreszcie zdjęcia krajobrazowe z terenów łowieckich.

Ponieważ zdjęcia przeznaczone są do reprodukcji w „Łowcu Polskim", przeto miarą wartości nadesłanej fotografji będzie, obok tematu i strony artystycznej zdjęcia, jej przydatność techniczna do reprodukcji. W tym celu format zdjęcia (odbitka z kliszy) nie może być mniejszy, niż 6 × 9, względnie 6 × 6 cm. Z klisz mniejszych rozmiarów, jak „Leica" i inne, muszą być nadsyłane powiększenia. Odbitka powinna być wykonana na papierze bromo-srebrnym w kolorze czarnym. Zdjęcie musi być ostre i wyraźne.

Na konkurs mogą być nadsyłane bądź pojedyńcze fotografje, bądź cykle zdjęć (najmniej 3) tegoż autora. Na każdem zdjęciu powinien być podany tytuł obrazu, marka aparatu oraz godło autora. Imię, nazwisko i adres autora należy dołączyć w osobnej zaklejonej kopercie, opatrzonej godłem, podanem na fotografjach. Każdy autor może nadsyłać fotografje tylko pod jednem godłem.

Wyróżniające się zdjęcia będą nagradzane bądź nagrodami pieniężnemi (7 nagród w kwotach: 150 zł., 100 zł., 75 zł., i 4 po 50 zł.), bądź żetonami (złotemi, srebrnemi i bronzowemi). Zdobywcy nagród pieniężnych, niezależnie od nich, otrzymają również żetony i dyplomy na nie. Nagrody pieniężne będą przyznawane zasadniczo za serje (szereg zdjęć), żetony — za zdjęcia pojedyńcze.

Jako dodatkową nagrodę za całokształt pracy fotograficznej autorom nagrodzonych seryj przyznaną będzie całoroczna prenumerata „Łowca Polskiego". Ponadto wszyscy autorowie, nagrodzeni na Konkursie, otrzymają zeszyt „Łowca Polskiego", w którym ogłoszony będzie wynik Konkursu fotograficznego. Przy większej ilości zasługujących na wyróżnienie fotografij seryjnych, mogą być przyznane dalsze 3 nagrody w postaci całorocznej prenumeraty „Łowca Polskiego".

Skład Sądu Konkursowego stanowić będą pp. W. Garczyński, J. Gieysztor, K. Czampe, S. Kamocki i W. Zabiełło, względnie zastępcy: pp. J. Dylewski i J. Kobylański.

Redakcja zastrzega sobie prawo reprodukcji wszystkich nadesłanych na Konkurs zdjęć fotograficznych oraz prawo ewentualnego udzielania odbitek, lub klisz drukarskich do użytku pism łowieckich krajowych lub zagranicznych w celach propagandowych.

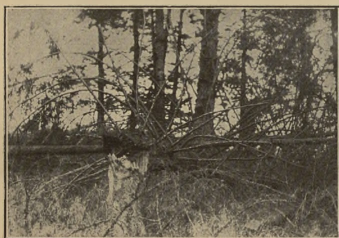
Termin końcowy nadsyłania fotografij na Konkurs ustala się na dzień 31 października r. b.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO"

WRAŻENIA Z KARPAT

(Dokończenie).

Teren zaiste miałem okropny: wykroty i zwalone drzewa (10), zmurszałe pnie (11) i trzeszczące gałęzie, ruchome kamienie i zwarte krzaki: wszystko to tworzyło bezdroża i powodowało, że zwłaszcza nocą cicho iść było nie sposób. Ani jednej ścieżki, po której bez hałasu możnaby było się posuwać, ani jednej drogi, rzeki lub potoku. Jeden zrąb na cały rewir i do tego tak zawalony drewnem i chróstem, a bez obecności jakiejkolwiek paszy, że zwierzyna niechętnie go odwiedzała. W sąsiedniem nadleśnictwie Iłemnia widziałem z zadrością doskonałe, umiejętnie przeprowadzone ścieżki bez kamieni i chróstu oraz dużo połonin, przecinających zwarte skupienia jodeł i świerków. Ja natomiast miałem jedną tylko połoninę, na której zastałem pasące się bydełko i na której stała moja koliba.



Zwalone drzewo w Gorganach (10). Fot. inż. T. Śliwiński.

Góry znam dobrze. Odbywałem swego czasu uciążliwe wpinaczki pod przewodnictwem Obrochty na najwyższe tatrzańskie wierchy. Chodziłem z Orłowiczem po Wschodnich Karpatach, a nawet samotnie odbyłem tygodniową wycieczkę po Czarnohorskiem pasmie i przyległych górach.

Posuwanie się przy dziennem świetle było na wyznaczonym mi terenie naogół uciążliwe i wymagało ciągłego baczenia na drogę, a cóż dopiero nocą w przedświtowych podchodach! Taki teren wymaga choćby jednej możliwej ścieżki okólnej, po której mógłby myśliwy nocą przesuwać się, nie płosząc zwierzyny, będącej w warunkach tamtejszych, dzięki kłusownictwu oraz obecności silnych drapieżników, jak wilki, rysie, na każdy szmer bardziej wrażliwą, niż w nizinach. W sąsiednim rewirze tego samego nadleśnictwa, gdzie ostatnie dwa dni spędziłem, były już zupełnie możliwe ścieżki, dwa zręby, parę połonin, dwa potoki, droga jezdna, a zatem warunki zupełnie inne. Byłbym w tym rewirze miał prawdopodobnie owocne spotkanie, gdyby nie kłusownicy, którzy mnie i jelenia, do którego miałem podchodzić speszyli. Trzy strzały oddane o ½ kilometra ode mnie, jeden po drugim, to już zanadto. Dnia następnego zrana nieoczekiwanie nadciągnęła śnieżyca i wreszcie musiałem wracać z niczem. Pocieszam się jednak, że z podobnym rezultatem t. j. bez strzału wracał z tego samego rewiru w roku poprzednim Książę R.

Czy „podprowadzających", którzy rekrutują się z miejscowych włościan, nie dałoby się zastąpić pobereżnikami i praktykantami leśnymi, którzyby przed rykowiskiem przeszli specjalny kurs we Lwowie, przy udziale światłych znawców polowania na jelenie, jakich, sądząc z poziomu ostatniej wystawy, Lwów, posiada spory zastęp? Myśliwi ci, przypuszczam, podzieliliby się chętnie zdobytem doświadczeniem z młodym narybkiem kandydatów na leśniczych. Kurs taki mógłby się odbywać co lat parę i natchnąłby prawdopodobnie adeptów leśnictwa zamiłowaniem do obserwacji płowego zwierza.

Piszę to na podstawie wrażenia, jakiego zaznałem, gdy podprowadzał mnie w wielkopolskich lasach praktykant leśny ze szkoły średniej. I wówczas nie doszedłem do strzału, lecz miałem bardzo wiele emocji i zrobiłem sporo interesujących obserwacji w ciągu czterogodzinnego posuwania się za stadem i bykiem. Nasz podchód skończył się wówczas na granicy sąsiedniego nadleśnictwa, gdyż uważaliśmy, pomimo widoków na dojście do strzału, zatrzymanie się za obowiązujące. Tymczasem człek „podprowadzający" uważa, że granice dla odstrzału w państwowych lasach nie istnieją i nieraz namawiał mnie na wyprawy do sąsiednich lepszych rewirów, gdzie polowali osobiście znani mi myśliwi, stojący u góry w hierarchji łowieckiej. Oczywiście z propozycji tej nie skorzystałem.

Za poważne utrudnienie podczas polowania na jelenie tam, gdzie niema lub jest mało połonin, jest to, że domki myśliwskie buduje się powszechnie na połoninach, dzięki czemu takie połoniny są omijane przez jelenie. Zamieszkując wraz z załogą na połoninach, tracimy tak ważne miejsce dla obserwacji. Niezamieszkałe połoniny, jako miejsca otwarte, są nad ranem i wieczorami chętnie odwiedzane przez jelenie. Tymczasem koliba z jej wiecznie dymiącą watrą, krzątaniem się załogi, przechodami posyłek, rąbaniem drzewa — odstrasza płowego zwierza. Zdarzyło mi się, że dwa ryczące jelenie, idące na mój wab równolegle ze mną, w nocy, w kierunku koliby, ucichły momentalnie, gdy usłyszały skrzypienie otwieranych w kolibie drzwi. Innym razem najwyraźniej spłoszył ciągnącego w nocy mocnego jelenia dym. Sądzę, że zamieszkałe domy myśliwskie, jako punkty obserwacyjne, nie mają żadnej wartości i należy urządzać je w głębi lasu, w pobliżu potoków, w miejscach przewiewnych.



Zmurszały pień olbrzyma leśnego (11).

Koliba myśliwska w Karpatach swym egzotyzmem i pierwotnością daje pewien posmak i stwarza swoisty wdzięk, jednak jako miejsce odpoczynku i noclegu winna dać myśliwemu pewne minimum wygód. Na jelenie polują przeważnie myśliwi nienajmłodsi, bo gdy się było młodym, to dobrze jeśli stać było na wycieczkę wysokogórską i na możność złożenia się do jelenia z ciupagi, więc trzeba i to także mieć choć częściowo na względzie. Brak w kolibie np. okna

w czasie całodniowego ulewnego deszczu stwarza nastrój więzienny, gdyż nic absolutnie robić nie można. Sprawa zachowania ciepła nastręcza też pewne objekcje, gdyż palenie drzewem w żelaznym piecyku w czasie przymrozku, z dokładaniem co godzinę polan przez całą noc, nie jest ani przyjemne ani dogodne. Gdyby np. ściany koliby były obite z jednej lub dwu stron korą jodłową, o którą tak łatwo, to przypuszczam, że czas utrzymania ciepła byłby znacznie dłuższy, a myśliwy nie byłby narażony na ciągłe zmiany temperatury, która, jak mogłem zauważyć, przy ciepłocie zewnętrznej około 0° była wewnątrz przy rozpalonym piecu 26° C, aby wraz z ostygnięciem zejść po godzinie do 5°. Czyżby też ze względu na zmniejszenie dymu, który deprymuje zwierzynę, nie dało się w domkach myśliwskich palić nie drzewem, lecz węglem drzewnym, który wypalić zawczasu przecież tak łatwo w lasach, gdzie leży masa niezużywanego materjału? Tego rodzaju opał daje minimum dymu, a przedłuża znacznie czas palenia i daje równomierne ciepło.

Byłoby też wskazane, aby wszelkie stare koliby, pozostałe na zrębach po robotnikach leśnych, były utrzymywane w jakim takim stanie używalności, ażeby myśliwy mógł dowolnie obierać sobie w różnych zrębach punkty obserwacyjne (oczywiście bez palenia ognia), z których o świcie i wieczorem oglądałby zwierzostan i zorjetowałby się w jakości byków.

Nocując raz w takiej nawpół rozwalonej kolibie, z jakimś młodym jeleniem, naraz do naszego duetu dołączył się o świcie jakiś dziwny, urywany, a nieznany mi głos. Mój współtowarzysz Iwan, chłopak 18-letni, który nocował ze mną, bardzo zafrasował się tym głosem, twierdząc, że to „Medwid'bresze" czyli: — niedźwiedź szczeka, i radził trzymać w pogotowiu sztucer. Nasłuchiwał z nietajoną powagą i widać głos ten mocno go zaabsorbował (12). Miał on kiedyś, pasąc bydło, jakieś spotkanie z niedźwiedziem i to wryło mu się w pamięć. Ciekaw byłem niezmiernie jak wygląda na wolności nasz monarcha puszcz, nie wiem też czy niedźwiedź w nocy „bresze". Niestety nie ukazał się, mogłem tylko obejrzeć jego ślady, w innem jednak miejscu.

Wieczorne i nocne oczekiwanie skończyło się fiaskiem, gdyż tylko młodą łańkę udało mi się dojrzeć o wschodzie słońca i to na odległość 150 kroków. Koło godziny siódmej rano zziębnięci na kość opuściliśmy niegościnną, źle okrytą kolibę (13), aby wrócić do naszego stałego locum, gdzie dobroczynny ogień i gorąca herbata doprowadziły do należnej ciepłoty ciało.



Iwan nadsłuchiwał z uwagą jak niedźwiedź bierze (12).

Mówiąc o sprawach życiowych podczas pobytu w kolibie, trzeba przyznać, że organizacja zaopatrzenia w prowiant etc. funkcjonowała jak najsprawniej i pod tym względem wszelkie potrzeby, np. nawet lekarstwo na stłuczenie, były dostarczone tego samego dnia, choć do leśnictwa miałem 11 klm., a do najbliższego miasteczka przeszło trzydzieści. Podprowadzający, usługa i tragarze bardzo uprzejmi, uczynni i troszczyli się o moje wygody, jak umieli. Widać, że władze leśne dały im należyte instrukcje.



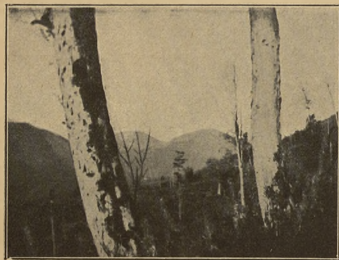
Niegościnna koliba (13). Fot. inż. T. Śliwiński.

Najciekawszem przeżyciem w czasie pobytu mego w Karpatach było nagłe zjawienie się z i m y w czasie najbardziej emocjonującej „rozmowy" z bykami. Ostatnie dwie doby spędziłem nie w pierwotnie udzielonym mi terenie, lecz w innym, sąsiednim, daleko lepiej urządzonym, z którego już wyjechał uprzednio polujący myśliwy, p. prez. Ch.

Wyszliśmy drugiego dnia nieco po drugiej w nocy na poważnie wzniesioną połoninę „Niwka", pod pasmem grzbietu Arszyce. Scieżka stroma, lecz naogół dość dogodna, w uciążliwych miejscach — serpentyny. Kamieni, chróstu mało, można więc było posuwać się cicho. Idziemy we trzech, t. j. ja, podprowadzający i tragarz (wybraliśmy się na cały dzień). W czasie posuwania się pod górę słyszymy, że na lewo, gdzieś nad potokiem, ryczy niezły jeleń. Odpowiadam mu raz i drugi, i nawiązujemy dyskurs. On mówi o swej tęsknocie do łani, tęsknocie w karpacko-jeleniarskiej gwarze, ja go naśladuję; wnet rozumiemy się i idziemy w jednym kierunku, tylko ja górą, a on niziną. Po dłuższej obserwacji słyszę, że posuwa się równolegle o jakieś 300—400 metr. Noc ciemna, bez gwiazd, w zwartym lesie — jak w tunelu, w trudniejszych miejscach poświecam sobie nisko trzymaną latareczką elektryczną. Po godzinie uciążliwego marszu wciąż pod górę, zbliżając się do połoniny, słyszymy nawprost nas drugiego, z głosu sądząc, nieco słabszego jelenia. Mrok jeszcze zupełny, więc posuwamy się bardzo powoli, niema bowiem najmniejszego widoku na strzał, ani możności rozpoznania zwierza. Po pewnej przerwie, rozkoszując się dźwięcznemi głosami rogali, zawabiłem i wnet prócz tamtych dwóch odzywa się trzeci, bardzo zdaje się gruby jeleń, na prawo od naszej ścieżki.

Zaczyna się wielkie misterjum jesiennej nocy w Karpatach, rozpoczyna się opera, gdzie solistami są trzy jelenie, a akompaniament tworzy poszum niebotycznych jodeł oraz szelest spadających liści. Ten matowy mrok przedświtu, aromatyczny zapach jedliny, tęskne basowe i barytonowe głosy bohaterskich trubadurów, gniew starego zrzędy, posiadacza haremu — wszystko to stwarza obraz pełny, niezapomniany przez swą odrębność, tak osobliwą, tak odmienną od tego, z czem spotyka się na zbiorowych polowaniach, tak że urok przeżyć wgryza się głęboko w świadomość, na wieczne czasy, niczem najdonioślejsze chwile w życiu człowieka. Stoję jak zaczarowany, zapominam poco tu przyjechałem, nie myślę już wcale, że to polowanie, że sztucer mam w garści. Chłonę każdy ton tej rozśpiewanej rozmowy, chcę

zrozumieć jej głęboki sens i nie urazić jakimś niepotrzebnym tonem. Tak, tego rodzaju słuchowisko, to jest przedewszystkiem to, poco przyjeżdża się na rykowisko, poco naraża się na niedogodności, niedospane noce.



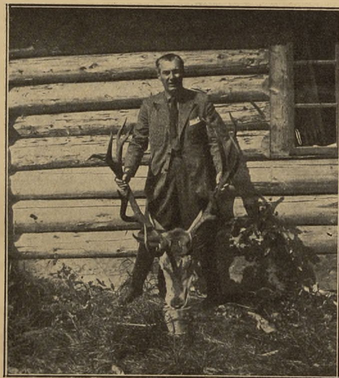
Zrąb w Karpatach. Fot. A. Morawska.

Jelenie ryczą pokolei, każdy jednak odmiennie. Ten ostatni wydaje najniższe tony, odzywa się rzadko, często się gniewa i straszy. To czternastak lub wyżej, albo wstecznik. Ten środkowy przypomina z głosu i intonowania jelenia nizinnego. Głos ma przeciągły, wysoko postawiony. To ósmak lub dziesiątak, ryczy naicześciej. Ten pierwszy towarzysz podróży, to prawdopodobnie wybitnie górski jeleń, średniej siły dziesiątek, wydaje krótkie energiczne akordy. Naogół jelenie te mniej grożą sobie, jak przy podobnych zbiórkach jelenie nizinne. Ich głosy, ich ryk, to jakby zespół pieśni miłosnej, wezwanie do płci drugiej, jak gdyby śpiew głuszca, lub gruchanie grzywacza. Ryk ich to przejaw najpierwotniejszego instynktu, to głód kochania, to zew do płci odmiennej. Stoję i nasycam się temi pieśniami, dorzucając zrzadka, od czasu do czasu swoje „trzy grosze". Słyszę, że i na podprowadzającego robi ten zespół głosów wrażenie, bo kłapie zębami ze wzruszenia, (z zimna tego nie robił), tragarz też jakoś siąpie nosem. Z tyłu niebo zaczyna się przejaśniać, świt nasuwa się górą, jakby ponad naszemi głowami. Ścieżyna, na której stoimy, staje się widoczna, kończy się prostą, dość wygodną dróżką, wychodzącą na połoninę. Posuwamy się nieco bliżej w takt ryku jeleni, ku jaśniejszej połoninie. Wylot na połoninę coraz wyraźniej odcina się od głębi leśnych mroków, tworząc jakby oddaloną scenę w teatrze.

W szarzyźnie przedświtu majaczy przez lornetkę jakiś kształt. Tak, oto miejsce, gdzie ryczy jeleń, przez lornetkę widać mętnie jeszcze zarysowaną sylwetkę jednej sztuki, obok pasie się druga. Niestety jeszcze za ciemno, nic nie można rozeznać, która sztuka i jaki ma wieniec. Napróżno przykładam do oka to Zeissa, to lunetę sztucera, niestety nie wiem jeszcze kogo mam na pierwszym planie, choć odległość nie sięga ponad 150 kroków. Jeszcze posuwam się kilkanaście kroków, lecz sytuacja pozostaje bez zmiany. Przestaję wabić i cały skupiam się we wzroku. Przecieram ciągle szkła lornetki i lunety, ale jest wciąż jeszcze ciemno i ciemno. Chmurny jakiś poranek nie daje tych połyskliwych bocznych promieni, tego odblasku zórz porannych, które rozwiązałyby sytuację.

Jeleń ryczy przede mną w towarzystwie drugiej też dużej sztuki, dwa inne byki ryczą w pobliżu, jeden z lewej trochę z tyłu, drugi najmocniejszy z prawej ku przodowi. Stoimy i czekamy. Podprowadzający namawia mnie do strzelania swojem: „Bejte! bejte!" Zmierzam się przez lunetę, opierając się o mocny sęk na drzewie, do stojącego na połoninie, czuję prawdopodobieństwo posadzenia kuli na komorze, gdyż widzę, że linja lunety przecina dobrze i bez drgań komorę ryczącego, którego już zaczynam rozeznawać ze względu na harmonizujące z rykiem podnoszenie głowy. Ale jaki ma wieniec? Po chwili wahania zamiar strzału odrzucam. Strzelać do najsłabszego według głosu byka z ryczącej trójki wydaje się kapitalnem głupstwem, tembardziej, że może to być ósmak, za ubicie którego płaci się karę, a ten stary z prawej może być kapitalnym. Więc czekam i czekam. Gdy moich towarzyszy ogarnia coraz większe zniecierpliwienie, ja jestem coraz spokojniejszy, a może coraz bardziej wyrachowany. Światło brzasku potęguje się na połoninie. Już coś niecoś widzę, jakby tyki, lecz jakiei są odnogi? Nie widzę tak pożądanego jaśniejszego poblasku wytartych końców koron i odnóg.

Para, stojąca przed nami na połoninie, rozprasza się, jedna sztuka rycząca staje gdzieś na lewo pod lasem i na jego tle niknie w ciemności, druga idzie na prawo, tam gdzie ryczy przypuszczalny kapitalny. Rykowisko na chwilę zacicha. Po momencie czekania próbuję znów wabić na muszli. Jelenie odpowiadają jeden za drugim... więc nie zepsułem. Lecz ten najsłabszy jak gdyby się oddalał i spuszczał gdzieś z góry. Natomiast najmocniejszy z prawej, choć odzywa się niezbyt często, zbliża się coraz bardziej. Więc nareszcie może dojdę do strzału! Czuję ważność momentu i wpijam wzrok w gąszcze z prawej. Połoninę widać coraz wyraźniej. Teraz rozeznałbym już wszystkie szczegóły wieńca, tak jak rozpoznaję odnogi leżącej na połoninie gałęzi. Lecz jeleń, który tu stał, już odszedł w gąszcze, choć ciągle jeszcze ryczy, jakby wabił niedawną prawdopodobnie towarzyszkę. Zbliża się ku połoninie i ten z lewej i powinien jeśli utrzyma kierunek wyjść o kilkadziesiąt kroków.



A. Morawski z bykiem (Perehińsko). Fot. A. Morawska.

Ach, żeby tak każdego choć przez sekund parę módz zobaczyć, obejrzeć, jakie to typy, jakie wieńce, czy moje djagnozy na podstawie głosu są słuszne co do przypuszczalnej siły. Więcej mnie w danej chwili pociąga sama możność rozeznania, aniżeli możność strzału. Męczy mnie zaciekawienie badacza, jak w laboratorjum wobec oczekiwania przy końco-

wem zestawieniu analizy. Mroki leśne zaczynają się cofać, szara, jesienna, matowa poświata przenika czarną głąb boru. Wabię znów tęsknie, przeciągle... Jodły coraz poważniej szumią. Kontury drzew występują ostrzej, spostrzegam coraz to nowe szczegóły otaczających nas krzewów. Lecz z prawej w gąszczach coś zamajaczyło, widać lekkie poruszenie pomiędzy grupą jodeł. Coś zbliża się, jak gdyby odczepił się konar od jaworu, i sunie ku mnie...

To on, najmocniejszy! Sztucer już na nim. Lecz przez lunetę nic nie widzę, psiakrew, znów zamatowało. Słychać cichy chrzęst łamanego suszu. Stąpa ciężko. To kapitalny! Próbuję znów przez lunetę — nic i nic, a nie czas wycierać. Biorę więc na muszkę pod lunetą. Jest, muszka siedzi pod szyją. Kula ekspansywna, lecz pole prawie czyste, niema obawy. Idzie, zbliża się, więc — szneler. Ale jakie rogi? Nic nie widzę. Boże, gdzież ten wieniec? Sztuka przecież okazała! Czyżby mnich, albo jakaś inna „wsteczna gęba"? Są uszy, głowa już wyraźna. Pochyla głowę, szczypie, djabeł, coś na ziemi, znów krok jeden, drugi wprost ku mnie, jest już na dwadzieścia kroków... Znów głowa, uszy — wieńca ani guzów niema, więc co to jest?.. I wtem w tym zwrot, zwietrzyła i w skokach ucieka. Jaka duża, większa, niż nizinne byki, a ja sądziłem, że to rogal! — „Korowa, halera" — słyszę szept za sobą.

Ryczę na nią z całej mocy, jak rozzłoszczony rogal, aby zamaskować jej ucieczkę. Ucieka, lecz staje — więc i ją udało się zwieść. Poprzednio słyszane jelenie zaczynają się odzywać wszystkie pokolei, znów wznowiony zostaje koncert, w którym i ja, jako solista, czarny charakter, biorę udział. Posuwamy się pod skraj połoniny, jest godzina piąta. Wszystko już widać. Połonina długa, otoczona wieńcem świerków, wygląda niezmiernie obiecująco. Lecz koncert rogali jakby słabnął. Jelenie, nawet ten najgrubszy, który był może o 120 kroków, ryczą ospale, rozchodzą się. Zaczynam je nanowo wabić, reagują niechętnie, bez zapału, moje pogróżki i wezwania do walki nie odnoszą żadnego efektu. Więc to tak? Ładna perspektywa, już nic z dzisiejszego podchodu. Nawet żadnego nie zobaczę. Zły jestem na siebie. „Podprowadzający" robi mu wyrzuty czemu nie strzelałem do tego na połoninie. Trzeba, myślę, zmienić taktykę. Milknę więc na jakiś czas, aby po dziesięciu minutach odezwać się inaczej.

Udaję teraz ją, zaczynam wabić, jak łania, wydając jej „angielski", nosowy dźwięk. W byki zda się wstąpiła nowa energja. Te trzy suche tony wywołują odrazu efekt. Odzywają się jeden przez drugiego, jak najlubieżniej. Towarzysz podróży grozi mi krótkiemi twardemi: ech!.. ech!.. ech!.. Tak wszystkie idą na mnie, ale ten młodzik widać biegnie z dołu truchta, bo słychać trzask kamieni. Stanął, znów ryczy wprost ku mnie. Zaraz go pewnie zobaczę. Tego drugiego, towarzysza podróży, słyszę w gąszczu, gdzieś blisko z tyłu. Najmocniejszy po chwili milczenia, przebiegł widocznie połoninę, ponieważ słyszę go najpierw przed sobą, a potem też nieco z lewej. Czemu, niestety, połonina garbata i nie widziałem go, jak przeszedł przez miejsce otwarte?

Więc znów jestem w centrum zainteresowania. Myśli jedna za drugą przelewają się przez głowę. Czas na strzał, jutro przecież wyjeżdżam. Jeśli ten baryton jest dobrym dziesiątakiem? Ale kiedy i ten mocny idzie ku mnie, skrada się wzdłuż połoniny, mądry szelma z natury swej unika otwartego miejsca. Więc baczność — partję trzeba rozegrać, nie można przebierać, bo który z nich zobaczy lub zwietrzy i zacznie zmiatać, skończy się wtedy wszystko. Fakt ucieczki spłoszonego byka ogarnie paniką i inne, a to koniec!

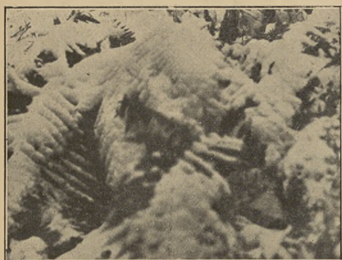
Lecz cóż u biesa, nagle pociemniało, znów się noc robi... Czyżby jakie zaśmienie słońca? Gazet już tydzień nie czytałem. Poco w takiej chwili ten głupi księżyc wlazł między słońce a ziemię? Ciemnieje coraz bardziej. Silniejszy podmuch wiatru zakołysał nagle jodłami i gdzieś ze szczytów Gorganów przyniósł falę dziwnie przejmującego zimna. Mrok coraz większy, wszystko zaczyna się zlewać. A potem zadął gwałtowny wicher, niosąc znienacka śnieżną kurzawę. W jednej chwili zostaliśmy otoczeni gęstym rojem pędzonych płatków śniegu. Krajobraz cały przesłoniły wirujące masy białego puchu. Zieleń świerków, pozłota brzóz, czerwień buków, seledyn traw — wszystko w jednej chwili zostało przykryte białą muślinową przesłonę. Byki, jak na komendę, umilkły. Musiał i na nich zrobić wrażenie ten niespodziewany przewrót w naturze. Ten najmocniejszy, który niejedną już zimę widział, odezwał się jeszcze kilka razy, ciągnąc w stronę południa, jakby za pasmem gór chciał szukać cieplejszych miejsc.



Z rykowiska. Fot. O. bar. Brückmann.

Śnieg sypał rzęsisty, jak to tylko w górach sypać potrafi. W ciągu dziesięciu minut pobielała hala, świerki i jodły zaczęły nalepiać na swe igiełki białą warstwę kryształów. Fala śnieżna spadła gdzieś z wyżyn, niosąc ostrzeżenie ludziom i zwierzowi, że zima się zbliża. Rykowisko było skończone. Nawet tropić nie można było, bo wszystko przywalił biały pokrowiec. Przeszliśmy po śniegu z kilometr w kierunku koliby pastuszej, wślad za najmocniejszym, który się odzywał, lecz i on znikł gdzieś w gąszczach, poczem rozpalaliśmy ognisko, aby się ogrzać. Po dwugodzinnej śnieżycy wracaliśmy do stałej koliby. Śnieg padał spokojnie, równo. Wiatr ustał. Białego puchu mieliśmy na hali już kilkanaście centymetrów. Weszliśmy w las i sunęliśmy tą samą ścieżyną co przed świtem. Smutnie wyglądały niebieskie kwiatki gencjany, przyprószone siwizną. Paprocie, zielone od spodu, białe od wierzchu, tworzyły subtelnie fryzowane, koronkowe rysunki. Na bukach i jaworach złoto, czerwień i śnieg budziły ciekawą grę barw, fantastyczne kontrasty jaskrawych liści i spokojnej bieli. Była cisza tak wielka, że zdawało się słyszeć

szmer spadających płatków śniegu na zeschnięte listowie. Na leśnej ścieżce oczy myśliwego, wiążące las i śnieg z tropami zwierząt, nie znalazły już nic literalnie. Zaczęła się zima, trzeba wracać!



Śnieg w górach w końcu września.

Jak mnie objaśniali podprowadzający i inni tubylcy, jelenie w czasie zimy spuszczają się z gór i podchodzą do wsi, starając się dobrać do stogów z sianem. Pełno ich wtedy wszędzie po dolinach. Głęboka powłoka śnieżna w górach utrudnia im przeżywienie. Zima, nietylko na skutek mrozów, wymaga dla jeleni intensywniejszej paszy. W drugiej połowie zimy organizm byków musi magazynować niezbędne mineralne substancje dla wytworzenia nowych rogów. Młodzież jelenia rośnie i rozwija system kostny. Łanie ciężarne donaszają nowe pokolenie, a więc wszystkim jeleniom potrzebne jak najintensywniejsze pożywienie, zawierające niezbędne mineralne składniki— fosfor i wapno. Dokarmianie zatem w końcu zimy t. j. w lutym i marcu zapomocą paszy, posiadającej dostateczną ilość potrzebnych składników mineralnych, jest rzeczą nieodzowną, zwłaszcza, że tej najodpowiedniejszej paszy nie brak w lasach Karpackich. I jako chemik znów pozwolę sobie ponownie wrócić do tego tematu, który już poruszyłem dwukrotnie w „Łowcu Polskim" w Nr. 26 i 27 1934 z roku i w Nr. 6 z r. 1935, przytaczając analizy roślin, które należałoby sadzić, a które dla dokarmienia jeleni są zimą nieodzowne, jak np. dzika kapusta, ze względu na to, że posiadają więcej białka, a co za tem idzie większe ilości fosforu i wapna. Pozwolę sobie obecnie powołać się na najnowsze dzieło o jeleniach w języku niemieckim p. t. „Nowe drogi w hodowli" — Vogta. Autor, opierając się również jak i ja na analizach składników spożywczych, radzi dawać jeleniom wytłoczyny sezamowe, które zawierają największe ilości fosforu i wapna. Przy takiej dodatkowej odżywce otrzymuje Vogt jelenie o 14 kilogramowych wieńcach i 242 p. Nadlera, młodzież w drugim roku daje mu 10-ki, w trzecim 12 i 14-ki, w czwartym roku tak żywione jelenie dochodzą do 22 odnóg. Rozpatrując pożywienie dla jeleni, słusznie zwraca uwagę Vogt na analizy liści buków, brzóz, wierzb i podaje następujące wartości:

	Tlenku wapnia	Bez w. kwasu fosforowego
Liście bukowe	1.41%	0.39%
Liście brzozowe	1.35%	0.45%
Liście wierzbowe	2.61%	0.87%
Gałązki wierzby	2.05%	0.66%
Dobre siano łąkowe	1.00%	0.48%
Jęczmień	0.06%	0.90%
Makuchy sezamowe	2.76%	2.30%

Jeżeli zatem chcemy utrzymać jelenia karpackiego w jego najpiękniejszej formie, czy nie należy wyzyskać tego tak odpowiedniego i tak łatwego do zebrania materjału pokarmowego, aby go uprzystępnić jeleniom w lutym i marcu, kiedy to śniegi leżą najgłębsze i najtwardsze, a w górach najtrudniej o paszę, a kiedy zapotrzebowanie organizmu naszego płowego zwierza na sole mineralne jest największe.



Śnieg w górach w końcu września.

Trzeba tylko chcieć zgromadzić to, co daje natura. A więc przygotowanie liściarki bukowej w rewirach górskich jest rzeczą nieodzowną. Ciężka zima podobno się zbliża...

INŻ. TADEUSZ ŚLIWIŃSKI

Stary król

Nikłe brzózki chylą się w zadumie...
Błogo drzemią sosny karłowate...
Mchów kobierzec każdy odgłos tłumi,
głuszy echa dalekiego świata.
Senne mszary — kraj zaklęty w baśni,
kraj tajemnych czarów i widziadeł...
Uśmiech zmierzchu pożegnalny gaśnie...
Zwiewny mrok już wszędzie się powkradał.
Ziemia tchnie rzeźwiącym dechem września
i mgławicy zwojem się otula.
Liście osik drzemią bezszelestnie
— czasem tylko coś bełkocą czule.
Jakiś łomot sen zarośli spłoszył —
to nie dzik, nie sarenka płocha,
to podąża do stęsknionej łoszy
Władarz bagnisk! Wieńczą go rosochy —
majestatu symbol królewskiego.
Postępuje głucho a chrapliwie.
Jego zew wokoło się rozlega,
senną ciszę wichrzy i ożywia.
Mglistym krążkiem księżyc się zaświecił..
Chmurki przed nim bojaźliwie pierzchły...
Wstają widma zgasłych tysiącleci,
widma wieków roją się zamierzchłych.
Z gąszczu cień olbrzymi się wyłania,
rosochaty ciężki łeb unosi...
W mroczną dal złowrogie mknie wołanie
ku przestrodze słabszych śmiałków - łosi,
co przekroczą jego ziem rubieże.
Król oddawna dzierży berło swoje.
Prawie nikt nie waży się z nim zmierzyć!
Stary król rywali się nie boi!

* * *

Po pustkowiach płynie głos władarza.
i potęgą tchnie niesamowitą.
Czujne echo łowi i powtarza
wieszcze dźwięki puszczańskiego mytu.

W. L. von FALKENAU.

O UŻYTKOWOŚCI SPANIELI

W ostatnim czasie na łamach wydawnictwa „Wild und Hund" wydrukowano kilka ciekawych prac na temat hodowli i tresury spanieli w Niemczech. Prace te powinny zainteresować również i naszych hodowców i właścicieli tej coraz rzadziej spotykanej rasy psów myśliwskich.

W Nr. 33 wymienionego pisma O. B. v. Watzdorf—Lubowitz zamieścił artykuł p. t. „Upomnienie do wszystkich treserów spanieli". Treść tej obszernej pracy podaję w skróceniu.

„Chociaż od wielu lat nie jestem hodowcą ani posiadaczem spanieli, gdyż do moich obecnych stosunków myśliwskich lepiej nadaje się „Gebrauchshund", to jednak zachowałem do tej rasy sympatję. Być może, że jest to pech, lecz miałem takiego „cockera", który na polowaniach w zupełności zastępował posiadanego przeze mnie nie gorzej przygotowanego „Gebrauchshunda". To tylko chciałem powiedzieć, że drugiego takiego nie miałem i nie spotkałem.

Z powodu mojej sympatji do spanieli często gniewa mnie to, że tak rzadko widuje się je na polowaniach, nie brak ich natomiast na żadnej wystawie. Czy nie wyświadczyliśmy jednak w ten sposób naszym psom niedźwiedziej przysługi? Na wszystkich prawie wystawach widuje się wymuskane i wygłaskane cockery, lecz czy chociaż kilka z nich podziwiał dobry myśliwy? Tę przeklętą hodowlę spanieli djabeł nastręczył niemyśliwym. Jeżeli niemyśliwy zabierze się do hodowli spanieli, to powstają z nich karły. Co uczyniły wystawy z początkowo myśliwskich jamników?! Dziś, po praktycznem zajęciu się niemi przez myśliwych i doświadczonych hodowców, są jednocześnie jamniki i piękne i użyteczne.

O rasę spanieli, po której można spodziewać się dobrej pracy w polu, dla kół myśliwskich zabiegam bardzo chętnie. Jestem myśliwym i sprawy psie traktuję tylko ze stanowiska myśliwskiego. Hodowla wystawowa zdyskwalifikowała spaniele w myślistwie. Mojem zdaniem rozmnoża tej rasy zeszła na pożałowania godne tory, gdyż kwalifikacje myśliwskie tych psów nie grzeszą żadnym postępem. Należy zatem dzisiaj psy dobrego pochodzenia oddać w ręce myśliwych i **przedewszystkiem przeszkolić je w ostrej pracy**.

Podczas myśliwskiego układania spaniela popełniane są przez większość myśliwych zasadnicze błędy, do których prowadzi myśliwych sama natura spanieli. Niezwykła mądrość i bystra orjentacja psa nakłaniają tresera do szybkiej tresury. Pozornie zdawałoby się, że tresura jego jest łatwą, że każde życzenie menera zostanie wykonane bez zarzutu, gdy tymczasem w czasie aportowania robią spaniele olbrzymie kawały. Bardzo łatwo przejmują one to ważne zadanie tresury na swe barki, lecz nie zawsze je bez zarzutu wykonują. Łatwość ich wytresowania trzeba naturalnie wykorzystać, lecz w sztuce aportowania, brania z ręki, trzymania, noszenia, skakania, siadania i t. d. przećwiczyć je trzeba systematycznie przez kilka dni z rzędu. Każdy spaniel okazać może nieraz to, co przeżył znany mój cocker, gdy go zaprawiałem do pracy. Mimo swego wieku (miał już bowiem trzy lata) uczył się on bajecznie szybko i w praktyce był również dobrym aporterem. Pewnego razu jednak zastrajkował mi przy jednym ciężkim zającu i nie chciał aportować pomimo zmuszania go batem. Nagle jednak wziął zająca i aportował bez zarzutu.

Posłuszeństwo spanieli jest bardzo ważne. „*Down*" musi być wyćwiczone na każdą odległość lepiej, niż u wyżłów. Znak ten jest i będzie duszą tresury. Spaniel nie jest wyżłem, lecz płochaczem (Stöber und Buschierhund), na głos „down" musi się zatrzymać. Czołganie się winno być wyjątkowo dobre.

Chociaż każdy spaniel przeznaczony jest do pracy wodnej, to jednak radzę przygotować go do tej czynności według wskazówek Hegendorfa. Na komendę musi on iść do wody, jak błyskawica.

Praca tropowa jest tylko częścią tresury. Jako stary mener psów pracę tę znam bardzo mało, zawsze bowiem ograniczałem się do przyzwyczajenia młodego psa do cichej pracy na smyczy. Tem nie mniej jednak praktyczny myśliwy winien wykorzystać każdą okazję, gdzie jego pies miałby możność pracy na naturalnym zdrowym tropie. Praktykę taką należy powtarzać długo. Wszelkie inne sposby są nic nie warte i nie mają żadnego sensu. Najlepiej jest wieczorem lub podczas polowań rannych postrzelić zwierzę tak, aby mogło ono jeszcze przejść 50 do 100 kroków. Następnie po 4-ch godzinach puścić na ślad psa. Zwykle trzeba go na takim tropie hamować, gdyż początkowo ciągnie on za silnie za smycz; potem zaś pracę trzeba przerwać, znowu wprowadzić psa na trop i znowu przerwać i t. d. dopóki się pies nie zmęczy. W ten sposób znajdujemy zwierzynę. Tę dobrą metodę hannowerskiego dworu myśliwskiego stosować można i dla wyżłów, jak również i dla bardzo nadających się do pracy za farbą spanieli. One bowiem winny być również małemi psami użytkowemi. Znany mój cocker był pierwszorzędnym w tej pracy, jego zaś potomek stał się specjalistą w tej dziedzinie, a nawet świetnie tropił dziki. W rewirach z grubą zwierzyną trzeba utrzymywać tropowca, lecz w rewirach sarnich zawsze wystarczy cięty spaniel.



Springer - Spaniele Ks. Izabelli Radziwiłłowej — Mankiewicze.

Dobre spaniele spotykane są niestety rzadko. Co do reszty zwrócić na nie jednak musimy w hodowli szczególną uwagę. Wskazuję jeszcze na to, że cięte potomstwo otrzymuje się po ciętym psie. Po matce ciętość zatraca się. Najlepiej zatem aby oboje rodziców posiadali wilczą ciętość.

Tresuj spaniela, jak każdego innego psa, nie oszczędzając, doucz go, gdy odmówi posłuszeństwa, a będzie i spaniel tem, czem być powinien: wytrawnym małym Gebrauchshundem".

Echem tego artykułu jest praca v. Meinecke - Kummerfelda p. t.: „Zmierzch rasy spanieli" (Nr. 39/1936). Oto ważniejsze szczegóły tej rozprawy.

„Jako hodowcy myśliwskich spanieli powinniśmy się cieszyć z pozyskania dla naszej rasy znawcy i win-

niśmy być wdzięczni za objektywne i fachowe wskazówki, jakie nam podał p. Watzdorf w swem „Upomnieniu do wszystkich treserów spanieli".

Doświadczenia p. Watzdorfa potwierdzają również moje przekonania. Do uwag tych dodam tylko, że do pracy po strzale w rewirze z drobną zwierzyną niema lepszego psa od spaniela; jestem przeświadczony, że przygotowany dobrze do pracy tropowej, zastąpi tropowca i w rewirze ze zwierzyną grubą.

Dla podniesienia rasy tych szlachetnych psów należy po pierwsze: aby sędziowie byli surowi. Pies, nie wytresowany dobrze, nie należy do użytkowych, wytresowany zaś, lecz nie znający pracy za farbą, nadaje się raczej do buduarów, niż do polowania; takiż, niemogący na odległość 200 m. aportować normalnego zająca, winien być, jako słabeusz, z hodowli psów myśliwskich usunięty. To samo trzeba uczynić z psami tępemi. Do księgi psów użytkowych (Gebrauchshundów) winien być zapisany ten pies tylko, który chociaż raz przed fachowcami wykazał się zdolnością i ciętością na drapieżniki. Przy dobrych chęciach można to zawsze uczynić.



Cocker - Spaniel. Fot. J. Hołyński.

Po drugie jednak musi się znaleźć droga do odróżnienia od psów myśliwskich produktu wystawowego. W tem tylko chciałem p. Watzdorfa powstrzymać. Co nas myśliwych może obchodzić np. standartowy typ międzynarodowy. Chcemy mieć pięknego silnego i energicznego psa myśliwskiego—i to jest wszystko. Czy odpowiada on pewnemu standartowi, jest nam obojętne. Wiem również, że nie możemy obejść się bez wystaw, jeżeli jednak na tychże wartościowe psy myśliwskie nie będą wyróżniane z pośród zimnych psów z piękną formą, to treserzy spanieli, nie osiągną nigdy swego zadania. A byłoby szkoda, tysiąc razy szkoda naszego wartościowego psa. Pytanie, jak to zrobić, muszę pozostawić fachowcom i hodowcom. Stoję jednak mocno przy tem: produkt wystawowy, jak również nieinteresujące się myślistwem hodowle, musimy z pośród psów myśliwskich usunąć.

Wywody o tresurze spanieli p. Watzdorfa trzeba tylko potwierdzić. Ja uczę swe psy tropienia zajęcy i bażantów zawsze na smyczy — nigdy jednak nie układam ich do tropienia sarn, gdyż chcę, aby moje psy tej pracy nie znały. Mało również przygotowuję je do pracy za sztuczną farbą; spaniel jest za mądry, aby nie rozpoznać podstępu. Jeżeli wytropi ze skutkiem rannego zająca, to praca na tropie sarny jest wtedy dla niego dziecinną zabawką.

Aportowanie zajęcy należy do silnych spanieli i takie właśnie my myśliwi powinniśmy posiadać. Jeżeli słaby lis, ważący ze 6 kg. niesie w swym krótkim pysku koźlę sarnie, zająca, albo gęś nieraz po pół godziny, to mały atleta, ważący 12 kg., nie mógłby tego samego dokonać? Co u lisów tworzy miłość matczyna, to u naszych o wiele silniejszych psów, z większym pyskiem, powinna zrobić tresura. I to właśnie według recepty p. Watzdorfa, lub też według mojego doświadczenia, które polega na tem, że obciążamy psa po obu stronach koziołkiem, aportowym i, przynaglając psa do aportowania, przyzwyczajamy go do pokonywania trudności".

Zdawałoby się, że obaj ci autorowie mają najsłuszniejszą rację. Zobaczmy jednak jaki głos zabrał w tej sprawie znany ze swej działalności w Europie fachowiec W. Marr, w swej rozprawce p. t. „Do zagadnienia o spanielach" w Nr. 42 „Wild und Hund" z 1937 r. którą tu przełożoną przytaczam.

„Niestety obaj autorowie nie wspominają, o jakich spanielach jest mowa; ponieważ jednak wyrażają się oni o trudnościach aportowania zająca z odległości 200 m., przypuszczam, że chodzi im tu o najmniejszy rodzaj t. zw. cockerspanieli. Pozostałe rodzaje spanieli w Niemczech są bardzo mało reprezentowane.

W swoim czasie czytałem sprawozdanie o próbach polowych naszych spanieli; sam również kilka psów tej rasy nauczyłem aportowania zajęcy. Gorącym zwolennikiem takiego przygotowania spanieli z zasady nie jestem, gdyż nie mogę znosić żadnego męczenia zwierząt.

Twórcy wszystkich ras spanieli przemyśleli w swoim czasie ściśle, do czego ma służyć na polowaniu każda rasa. I tak, do polowania na słonki wyhodowany został mniejszy rodzaj psów, mianowicie cockery. Odpowiednio do tego nazwano ten rodzaj cockerpanielami, po angielsku słonko-spanielami.

Jeżeli używa się tych psów powszechnie do polowania na króliki, i bażanty, to wcale się temu nie dziwię, gdyż oba te rodzaje zwierzyny nie wiele więcej ważą od słonki. Gdy zaś wybieram się na polowanie na króliki, to dobry cocker zawsze mi sprawi wiele pociechy. Jednakże na próbach polowych wymaga się od nich niemożliwości, mianowicie, aby te małe psy aportowały również i zające.

To żądanie, pomijając męczenie zwierząt, niema praktycznego znaczenia, ponieważ psy te hodujemy nie dla nagrody za tropienie, lecz do polowania, a nagroda za dobre tropienie jest tylko jednym z pożądanych dla hodowli środków. Jeżeli cocker w czasie tropienia przyaportuje z 200 m. zająca, to wyczyn ten będzie jego sztuką, tak samo jak jakiś foxterrier, lub inny cwergpudel stoi z wielkiem napięciem w cyrku przez większą liczbę sekund na przednich łapach. Nie możemy żądać ani od foxterrierów, aby te przez cały dzień bez przerwy uprawiały sztuki cyrkowe, ani też od najsilniejszych, rasowych i najwięcej pasjonowanych cockerów wymagać zastępowania psów użytkowych (Gebrauchshundów) na całodziennym polowaniach na zające.

P. Meinecke-Kummerfeld przytacza jako przykład słabego lisa, który ciężką gęś niósł na przestrzeni całego kilometra. Przykład ten jednak w żadnym wypadku nie może być trafnym, gdyż nie można zapominać o tem, że taki ciężar trafia się lisowi do niesienia najwyżej jeden raz dziennie. A gdy taką gęś, lub ciężkiego zająca przyniesie lis do swego gniazda, to naje się dosyta i śpi potem przez cały dzień i noc, zbierając siły na dzień następny. Myśliwi nie mogą pozatem zabierać ze sobą na polowania tyle cockerów, ile uda im się upolować zajęcy i każdego psa po takiej ciężkiej pracy z zającem odsyłać do domu.

Nie powinno się zatem używać do praktycznych polowań nawet najlepszych cockerów.

Każdy myśliwy powinien posiadać nie zwierzę cyrkowe do pokazywania na próbach polowych sztuk akrobatycznych, lecz psa myśliwskiego do polowania. Nawet z hodowlanego punktu widzenia aportowanie zajęcy na próbach polowych jest bardzo niebezpieczne. Zrozumiałem jest chyba, że hodowcy cockerów dla zdobycia nagrody chętnie oddają swe psy na próby polowe; zresztą powinni tak zawsze czynić. Chcą oni jednak, aby poddane próbom psy naprawdę uzyskały jakieś wyróżnienie, lub przynajmniej pochwałę, lecz wskutek żądania od spanieli na fieldtrialsach niemożliwości, chęci ich pozostają bezowocne. Wybór bowiem dobrego materjału hodowlanego zostaje zepchnięty na złe tory, w których hodowca w czasie selekcji dopatruje się dobrego aportowania przez cockery zajęcy i doprowadza swą hodowlę w ten sposób do niepożądanych zwyrodnień. Do polowania na zające są francuskie i angielskie springer-spaniele, a kto wyhoduje sobie zbyt powolnego psa, powinien się zadowolić clumberspanielem, lecz nie może żądać niemożliwości od cockerspanieli.

Nie męczmy zwierząt i nie wymagajmy od nich cyrkowych akrobacyj."

W Nr. 44 b. r. wreszcie redakcja „Wild und Hund" zamyka dyskusję na ten temat dwoma krótkiemi replikami pp. Rüdt'a i Meinecke-Kummerfeld'a.

P. Rüdt uznaje różnicę używania psów tejże rasy w Anglji i w Niemczech. Jego zdaniem Anglja, posiadając większe bogactwo zwierzyny łownej, może sobie pozwolić na luksus używania przeróżnych ras psów, odpowiednio do ich naturalnego przeznaczenia, kiedy natomiast w Niemczech o wiele uboższy zwierzostan oraz nowa ustawa łowiecka przyczyniają się do tego, że myśliwi niemieccy muszą się zadowalniać takiemi, których można używać na różne gatunki zwierzyny, t. zw. „Gebrauchshundami".

Przytaczając wspomnienie o swym dzielnym spanielu, dowodzi autor, że aportowanie dla tego psa było pasją, że znosił on ubitą zwierzynę z każdej odległości, a na polowaniach zbiorowych przytaszczał nieraz trofea, upolowane przez sąsiadów. Nie okazywał przytem nigdy zmęczenia, czy niechęci, z wyjątkiem wyraźnego zakazu. Przyznając p. Marrowi wysokie zdolności kynologa, sędziego konkursowego i hodowcy, zastrzega autor jednak, że właścicielom spanieli nie chodzi o to, czy używanie ich w charakterze „dziewczyny do wszystkiego" odpowiada istotnemu ich przeznaczeniu, lecz raczej o to, jak dalece mogą one być faktycznie użytecznemi.

Akceptuje również autor myśl zaostrzenia przepisów kwalifikacji psów, opierając się na tem, że myśliwym nie potrzeba psów salonowych o ładnym wyglądzie, lecz przedewszystkiem użytecznych pomocników.

Powracając do artykułów pp. Watzdorf'a i Meinecke-Kummerfeld'a podkreśla p. Rüdt, że nie należy dążyć do zróżniczkowania hodowli spanieli na psy salonowe i myśliwskie, i poleca hodowcom oraz fachowym związkom wyhodowanie takiego typu spaniela, któryby jednocześnie łączył w sobie piękną formę z dużemi zdolnościami do polowań.

Artykuł kończy się życzeniem, aby polemika na ten temat przyczyniła się do podniesienia hodowli spanieli do takiego poziomu, aby psy te można było zakwalifikować do tej rasy, do której z natury rzeczy i z puntku użyteczności praktycznej nie należą— do rasy „Gebrauchshundów".

Wywody drugiego oponenta, p. Meinecke, nie zasługują na specjalną uwagę. Szuka on najwidoczniej dziury w całem i rzeczowego do dyskusji nic nie wnosi. Chwyta jedynie p. Marra za słówka.

Polemika ta świadczy wyraźnie, że dawny niemiecki sposób tresury cockerspanieli na „Gebrauchshundy" powoli zaczyna się załamywać. Można się spodziewać, że istotne przeznaczenie tej rasy zyska sobie niebawem zrozumienie u wielu hodowców i myśliwych i znajdzie racjonalne zastosowanie.

S. M. M.

MIKUNIA

Miała już cztery lata...

Znałem ją osobiście prawie od szczenięcia i wraz z jej „Państwem" zachwycałem się jej rasową urodą, jej niebywałą mądrością, bal przenikaniem ludzkich myśli. A cóż mówić o niezwykłem przywiązaniu, o szczerej, wiernej, zawsze jednakowo serdecznej miłości!...

Historja dość krótkiego jej życia nie była zbyt obfitująca w niezwykłe zdarzenia, ani pełna sukcesów, płynących z przyrodzonych zdolności, jako jamniczki. Państwo, mieszkając pod miastem lub w mieście, wiedli spokojny żywot, pełen trudów dni powszednich i trosk, a ich tryb życia był także udziałem Mikuni.

Spacery!... To jedyne, co Mikunia tak bardzo lubiła, to jedyne rozkosze, do których pasjonowała się zawsze i nieodmiennie. Bo na spacerach tych spotykała na swej ruchliwej — mimo dość zażywnej tuszy „mieszczanki" — drodze najprzeróżniejsze żywe stworzenia, które ją zawsze najbardziej interesowały i absorbowały jej duchowe więzi z otaczającą przyrodą. A więc motyle... chrząszcze... żabki... myszy... przeróżne ptaszki... czasem kuropatwy, lub nawet zające.

Mikunia odnosiła się do wszystkich żywych tworów w prostym stosunku do wielkości, ruchliwości lub wydawanych przez nie głosów. Ale Mikunia tylko obserwowała te stworzenia, nigdy ich nie atakowała. Miała anielskie serce swej Pani, która nieraz ją po-



Mikunia.

uczała, że trzeba współżyć ze wszystkiem, co żywe, lecz nie czynić nigdy krzywdy nikomu. Więc nawet przy najbardziej intensywnie występujących emocjach, wywołanych przez jakieś niespodziane spotkania, lub — co nie daj Boże — agresywność napotkanego stworzenia w jej kierunku — Mikunia conajwyżej... szczekała. Zasadniczo szczekanie to jednak było radosną wymową uczuć, jakie się rodzą w obcowaniu równego z równym, wolnego z wolnym.



Konsultacja.

Cóż więcej powiedzieć mam o Mikuni?...

O niej samej może już nic, bo Mikunia zachorowała i — odeszła.

Zato jakież ogromne, nabrzmiałe goryczą łzy widzę spływające z jasnych oczu jej dobrej Pani, gdy Mikunię wzięło na stół konsultacyjny, kiedy „Państwo" chcieli ulubienicę ratować!...

Orzeczono, że zachorowała — co się dość często zdarza — na pęcherz i nerki. Nieuleczalnie. Więc chociaż odbyto nad chorobą Mikuni walną naradę, choć, widząc wielkie strapienie „Państwa", doktorzy całem sercem pragnęli ją zatrzymać przy życiu — nie pomogło nic, Mikunia wkrótce poszła do ziemi.

I teraz tylko nad jej ostatniem miejscem spoczynku fruwają motyle, chrząszcze, biegają myszki, trzepocą się ptaszęta... Ale Mikunia tych ozdób, tych uroków swego życia już nie widzi — a jej Pani bardzo ciężko jest przeżywać takie chwile, gdy wspomni odbywane przez cztery długie lata spacery z Mikunią.

Dlaczego poświęciłem tej psinie aż tak serdeczną nić wspomnienia?...

Bo na takim samym stole konsultacyjnym stanęła temu dwa lata moja dwunastoletnia wyżlica, Rena, której również niepodobna było nic pomódz.

Pozostawała w klinice cztery dni — telefonowałem tam dwa razy dziennie. Doktorzy, widać współczując memu zmartwieniu, odkładali ostateczne orzeczenie, obiecując zebranie większego konsyljum, tymczasem Rena w wielkich męczarniach, w ogromnej gorączce, nieoperowana — opuściła swego „Pana", a właściwie przyjaciela i towarzysza łowów.

Otrzymałem na pamiątkę jej obrożę z powrotem.

Przychodzi mi do głowy, że przecież kliniki dla zwierząt (nawet uniwersyteckie) nie powinny we wszystkich swych pacjentach widzieć jedynie materjału doświadczalnego. Że skoro ten „Pan" czy „Pani" istnieją i troszczą się o swego ulubieńca, powinno następować natychmiastowe zbadanie, orzeczenie, a gdy to ostatecznie wypadnie negatywnie i niema już żadnego ratunku, powinno się skazane zwierzę natychmiast uśpić, aby oszczędzić jemu fizycznych, a „Państwu" moralnych cierpień.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

DOŚWIADCZENIA Z HODOWLĄ SARN I JELENI

(Dokończenie artykułu z dnia 1.IX w Nr. 25).

Rezultaty osiągnięte przez p. Vogta z hodowlą sarn nie ustępują w niczem rezultatom z hodowlą jeleni. Dla doświadczeń wpuszczono do tegoż ogrodzenia, w którem znajdowały się jelenie, również sarny — w ilości 100 sztuk. Sarny były miejscowe czeskie, a ponadto sprowadzono z Danji 6 sztuk kóz i dwa kozły. Całą ilość sarn podzielono na trzy części, z których każda stanowiła obsadę jednego z trzech oddziałów całego ogrodzonego terenu, który łącznie obejmował 150 ha.

W drugim roku po sprowadzeniu sarn z Danji jeden z 2-ch kozłów został odstrzelony, gdyż parostki miał zbyt wąsko rozstawione, parostki drugie były natomiast prawidłowe i ładnie uperlone.

W okresie pierwszych dwóch lat sarny w ogrodzeniu dokarmiane były wyłącznie owsem, jęczmieniem i żytem, a obok tego dawano im siano łąkowe, buraki pastewne i kartofle. Parostki kozłów w tym okresie zdarzały się ładne, jednak przeciętna ich waga nie przekraczała średnio 240 gr.

Począwszy od roku 1932, kiedy rezultaty dokarmiania sezamem jeleni stały się już widoczne, postanowił p. Vogt dokarmnianie sezamem również i sarn. Dla oblicznia ilości sezamu, jaką należało dawać sarnom, wyszedł p. Vogt z założenia, że o ile u jelenia wieniec stanowi około 5% jego wagi, to u kozła parostki zaledwie tylko 2%, czyli że ilość karmy sezamowej dla sarny wynosić powinna dziennie mniej, niż połowę tego, co było dawane jeleniom.

Karma sezamowa dawana była od początku października do końca marca, przyczem w październiku



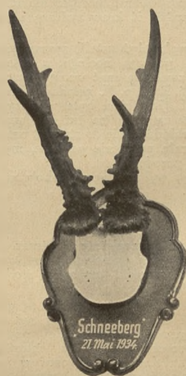
Parostki rogacza, karmionego kuchem sezamowym.

po 100 gr., w listopadzie, grudniu, styczniu i lutym po 300 gr., w marcu po 200 gr., w kwietniu po 100 gr. dziennie na sztukę. Obok tego dawano siano, kartofle i żołędzie.

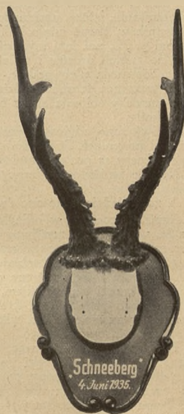
Sarny od pierwszego dnia bardzo chętnie jadły karmę sezamową, która podawana im była w żłobkach, okolonych sztachetkami tak obliczonemi, aby sarny mogły swobodnie przechodzić, żeby jelenie natomiast nie miały dostępu.

Na rezultaty dokarmiania sarn sezamem nie trzeba było długo czekać, jak o tem świadczą poniższe fotografje:

Niezależnie od dokarmiania, stosowanego przez p. Vogla w opisanem ogrodzeniu, polecił on również dokarmiać sezamem sarny i jelenie, będące poza ogrodzeniem, tj. na wolności. Zdarzyło się tak, że do jednego ze żłobów, ustawionych w lesie, na uboczu, do którego sądzono, że przychodzić będzie parę sztuk, przychodził stale tylko jeden 5-cio letni jeleń o bardzo słabych wieńcach, który w tymże roku 1933 na jesieni został odstrzelony. Zrzuty tego jelenia na wiosnę ważyły wszystkiego 2,6 kg. a po zabiciu wieńce ważyły 4,41 kg., czyli przez parę miesięcy przybyło im na wadze przeszło 50%.







Równorzędnie ze zwiększającą się wagą parostków zwiększała się również waga kozłów o 30 do 50%. Wśród jednorocznych kozłów do rzadkich wyjątków należeć zaczęły szpiczaki, natomiast większość były to już szóstaki i czasem tylko zdarzały się widłaki. Normalnie młode kozły pod koniec roku, w którym się urodziły dostawały małe różki, które już w styczniu lub lutym zrzucały, a na ich miejsce wyrastały nowe, zwykle odrazu z trzema odnogami. Wszystkie kozły w trzecim roku, a najdalej w czwartym były już kapitalnemi i to tak dalece, że w piątym roku istniała już obawa cofania się wstecz.

Sarny i jelenie, znajdujące się w tem samem ogrodzeniu, żyły w najlepszej ze sobą zgodzie, czego dowodem, że sarny przychodziły do żłobów z karmą, przeznaczoną dla jeleni, nie będąc przez nie odpędzane. Ciekawym, a jednocześnie niezbitym dowodem skuteczności dokarmiania sarn i jeleni sezamem służyć może następujący przykład.

Na zakończenie dodaję, że celem pracy mojej, jaką włożyłem w streszczenie książki p. Vogla dla zaznajomienia szerszego ogółu myśliwych z opisanemi wynikami przeprowadzonych prób z sezamem, jest zachęcenie polskich hodowców do naśladowania p. Vogla, niewątpliwie bowiem podobne próby w naszym kraju uwieńczone zostaną równie pomyślnym rezultatem.

Dla ułatwienia zainteresowanym omówionych doświadczeń jestem gotów wypożyczać sieci do łapania sarn, a także służyć mogę potrzebną ilością sezamowej karmy.*)

STANISŁAW KAMOCKI

*) Adres p. St. Kamockiego: Milanówek, ul. Grudowska 12. (Przyp. red.).

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na IV kwartał, lub na miesiąc październik.

Jednocześnie zmuszeni jesteśmy uprzedzić, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana. Administracja.

CIEKAWOSTKI MYŚLIWSKIE

Jeżeli, jak powiada Shakespeare, są cuda na niebie i na ziemi, o których nawet filozofom się nie śniło, to w myśliwstwie napewno cudów tych trafia się jak najwięcej.

Będąc specjalistą, od t. zw. sensacyj (i podobno o niczym pozatem nie umiejącym pisać), podam poniżej trzy sensacyjne historje, zaczynając od najbardziej zagadkowej.

I.

Pan M., obywatel ziemski na Podlasiu, brał udział w polowaniu, które, aczkolwiek nie liczyło wielu uczestników, trwać miało kilka dni. Tak się złożyło, że ani p. M., ani inni myśliwi nie chcieli wracać na noc do swoich domów i woleli przenocować u chłopów, coprawda niewygodnie, ale tuż obok obfitujących w zające terenów, gdzie od wczesnego ranka, bez potrzeby obijania się w bryczkach, mogli rozpocząć kotły.

O 7-ej rano odgłosy wystrzałów rozniosły się echami po polach Podlaskich, a chłopcy gęsto zbierali sukcesy w postaci upolowanych szaraków.

Nic nie wróżyło tragicznego zakończenia polowania.

A zapowiedziało się ono świetnie.

Raptem kroczący w odległości 50 kroków od pana M. w tyralierze myśliwcy usłyszeli dziwny, przygłuszony trzask, niepodobny zupełnie do odgłosu wystrzału z broni myśliwskiej. Zaciekawione spojrzenia skierowały się w stronę dziwnego odgłosu. Myśliwi przerazili się widokiem, gdyż zdala zobaczyli, słaniającego się pana M., który wkrótce bezwładnie usunął się na ziemię. Kto tylko to widział, rzucił się biegiem w stronę leżącego.

Po chwili, ciężko dysząc, myśliwi podnosili pana M. Z lewej jego ręki buchały strumienie krwi, a z dłoni zwisały strzępy, resztki trzech palców. Całe szczęście, że zawsze szybko orjentujący się p. Zenon Wachowicz, stary wojak, posiadał t. z. bandaż indywidualny, jeszcze z czasów wojny. Dziedzic na Krzymoszach błyskawicznie założył rannemu opatrunek, tamując w ten sposób upływ krwi i uchodzące z każdą kroplą życie.

Obejrzano strzelbę. Prawa jej lufa, w miejscu gdzie podtrzymuje się przy strzale broń lewą ręką, była wyrwana, na przestrzeni około 12 centymetrów. Powstała wyrwa, najszersza była w środku, zwężając się ku przodowi i tyłowi, podobna kształtem do odłamków pocisków artyleryjskich.

Polowanie przerwano, a goście się rozjechali, komentując straszny wypadek. Natychmiast rozpoczęto badanie przyczyn rozerwania lufy, których skutkiem była dla p. M. utrata trzech palców.

Prowincjonalni rusznikarze nic nie mogli ustalić. W stolicy eksperci władz bezpieczeństwa spierali się między sobą. Jedni mówili, że ładunek był za mocny, drudzy, że lufy źle wyborowane. Opinji pierwszej przeczyły ślady osadu prochowego. Były one tej samej długości co i od innych ładunków — więc hipoteza przeładowanego naboju, prochem bezdymnym, upadała. Zresztą naboje, wyrobu maszynowego, pochodziły ze znanej firmy, solidnej i dokładnej.

Badanie technologiczne metalu lufowego wykazało, iż wszędzie był on jednakowo gruby, polerowany i bez pęcherzyków, powstających czasami wskutek wadliwego odlania metalu. Możliwość zatkania lufy śniegiem nie istniała, gdyż był to środek października, a badanie wylotów luf nie wykazało obecności, chociażby odrobinki ziemi, ktora po dostaniu się naskutek nieuwagi do przewodu lufy mogła spowodować wybuch.

Jednem słowem nie dopatrzono się nigdzie winy rąk ludzkich i śledztwo w tej sprawie umorzono.

Trzeba trafu, że o wypadku tym dowiedział się pewien dziennikarz mający stosunki z władzami bezpieczeństwa, zwłaszcza z temi, które dokonują ekspertyz broni. Dziennikarz ten, redaktor Mieczysław Kwiatkowski, obecny był na procesie Gorgonowej i wskutek tego specjalnie interesował się badaniami biologicznemi krwi. Jako wielki znawca wszystkich spraw związanych z morderstwami, bronią, dochodzeniami, red. Kwiatkowski wypożyczył lufy, z zabezpieczonemi śladami krwi i udał się z niemi do znajomego lekarza - mikroanalityka. Lekarz ten stwierdził, że krew jest ludzka, ale... częściowo i zwierzęca. Po dokładniejszem badaniu, bardziej skomplikowanem, lekarz stwierdził, iż krew zwierzęca pochodzi z myszy.

Dziennikarz tryumfował, gdyż ustalił sprawczynię wypadku. Mysz polna podczas noclegu, u chłopa wlazła p. M., do lufy, zwabiona snać wonią tłuszczu i nie mogła się wydostać. Rano p. M. załadował broń, nie przepatrzywszy luf. Gdy broń była w pozycji pionowej, mysz siedziała na przybitce, tuż nad kamerą nabojową. W chwili składania się do strzału, wskutek tego iż lufa przybrała położenie poziome, mysz potoczyła się nieco ku przodowi.

Obecność jej tuż przy wybuchającym naboju miała fatalne skutki.

Vis maior!

II.

Ze środka naszej ziemi, przenieśmy się teraz na kresy, w okolice Lidy, gdzie pewien pomysłowy i przedsiębiorczy leśnik wynalazł znakomity środek na kłusowników i złodziei leśnych.

Jak wiadomo, te dwa rodzaje przestępców są plagą lasów, prywatnych i państwowych. Kary sądowe niewiele pomagają, z powodu długotrwałej procedury oraz niewrażliwości i obojętności chłopów, zwłaszcza kresowych, na skutki przestępstw w postaci wyroków. Karalność czyjaś nie przeszkadza chłopu w pracy na roli, a odsiedzenie paru miesięcy w miejskim kryminale, gdzie ciepło i jakie takie jedzenie, nie odstrasza.

Otóż p. inż. Wirpszo, leśnik, jak już zaznaczyłem z okolicy Lidy, wpadł na skuteczny i dowcipny sposób przeciwdziałania kłusownictwu i kradzieżom leśnym. Na jego polecenie, gajowi i strażnicy leśni odprowadzają schwytanych kłusowników i złodziejaszków leśnych do zarządu leśnictwa, gdzie się ich... fotografuje.

Zdjęcia te, powiększa się następnie, poczem wywiesza się je w lokalu gminnym z adnotacją wypisaną „wołowemi" literami. Adnotacje te opiewają iż Iks Ygrek jest złodziejem leśnym. Zet - kłusownikiem Pozatem nad fotografjami figuruje napis „przypatrzcie się im uważnie".

Efekt tej swoistej wystawy jest nadzwyczajny. Nieuczciwi „ludzie leśni", gorzej boją się eksponowania swych podobizn na widok publiczny, niż najcięższego kryminału.

Lasy podległe p. inż Wirpszy omijane są przez kłusowników i złodziei z respektem, niemal że zabobonnym. W Ameryce policja pokazuje przestępców w klatkach. Podobno tego robienia im popularności, nie lubią zwłaszcza złodzieje sklepowi. Również sposób p. Wirpszy daje wyniki znakomite.

Czy nie warto by było, takiego sposobu zastosuwać i gdzieindziej?

III.

Jest to już nie polowanie, ale łowy na grubszą zwierzynę-ludzi, w których jednak znajomość zwyczajów zwierząt i ich głosów, a zwłaszcza ptactwa,

daje znakomite rezultaty, których nie powstydziliby się Indjanie, najlepsi badacze tropów.

Wspomina o takich łowach p. Banaczkowski, zasłużony strażnik graniczny na pograniczu niemieckiem w „Czatach".

Miał się on zaczaić na parę przemytników wracających z „szwarcowanym" towarem z Prus. Zasadzka jego miała miejsce w bardzo gęstym lesie, idealnym dla tego rodzaju przestępstw. Pisze on:

„Dla mnie sytuacja o tyle utrudniona, że nie miałem żadnego pola widzenia i musiałem się kierować jedynie słuchem ale i ten zawodził, bo odgłosy tłumił mech. Pewnego razu zaczaiłem się w południe w gęstwinie leśnej i w odległości około 25 m. od granicy. Cisza... po pewnym czasie usłyszałem bek sarniaka na przedpolu. — Aha, dobry znak dla mnie. Po pewnym czasie zauważyłem niespokojnie latającą po drzewach sójkę, która wkońcu zaczęła się drzeć przeraźliwie.

Był to znak nieomylny, że jakaś istota ludzka podążą błotnistą dolinką w kierunku granicy, a z drugiej strony ktoś jest w krzakach na przedpolu. Czekałem cierpliwie, a alarmy naszych przyjaciół nie ustawały. Po upływie około 20 minut usłyszałem wesołe ćwierkania stadka wróbli od granicy w głąb kraju. — Aha — konwojują kogoś — pomyślałem, wychyliłem głowę z paproci i z trudem dojrzałem postać kobiecą, chyłkiem biegnącą od linji granicznej, w głąb polskiego lasu."

P. str. Banaczkowski, dzięki wsłuchaniu się w odgłosy kniei, złowił nielada zdobycz. Miała ona na sobie 7 kg. sacharyny, 2,900 kamieni zapałowych, 37 zapalniczek, 100 gr. tytoniu i lekarstwa.

Wróble, sójka i sarniak przydały się.

Również ten sam p. Banaczkowski miał inną przygodę, tym razem z zającem, a w każdym razie jego kwileniem.

„W pewnej chwili usłyszałem w zaroślach dźwięki, pochodzące z gardła zająca. Tak, że żadnej omyłki nie może być. To pan zając leśny zaprasza swoją przyjaciółkę do wieczornych zalotów. Zdziwiło mnie jednak to, że zbyt wielki szelest powstawał w pewnej chwili głęboko w tyle za rozamorowanym zającem. Naraz mignęła postać ludzka".

I tutaj nie mniej od słuchu i sprytu strażnika bystre nogi dopomogły do ujęcia przemytnika Stokłosy.

Szedł on na czujce, przed oddziałem przemytników niosących towary i im to dawał znaki na wabiku zajęczym, kupionym, jak ustaliło śledztwo, w Raciborzu za 30 fenigów.

Na wabiku tym p. Banaczkowski oszukuje teraz inne zające, ale niepoluje na nie. Jego obowiązek to polowanie na niebezpieczniejszą zwierzynę, bo nieraz zbrojną i to w „Parabelle" albo „Nagany", a niosącą do Polski przemyt.

Zresztą i na granicy sporo jest kłusowników i niema miesiąca, kiedyby straż graniczna kilku z nich nie złapała.

Wabiki, obserwacja życia zwierząt, to wszystko co niezbędne jest myśliwym, również ma zastosowanie na granicy. A psy przedewszystkiem!

Niejednokrotnie strażnicy z pogranicza Czechosłowacji składają meldunki o misiach, przekraczających nielegalnie granicę.

Ale do nich się nie strzela, ale nawet po naszej stronie zostawia poczęstunki, dla zwabienia.

MICHAŁ GODLEWSKI.

HISTORJA JEDNEJ STRZELBY

Odpoczywała sobie dubeltówka, może rok, może więcej, na spodzie kosza, jak w trumnie. Znienawidziła wtedy zapach naftaliny, którym przesiąkała powoli. Miała wrażenie, że ten przymusowy letarg będzie trwał wiecznie.

Od czasu do czasu nawet otwierano kosz, lecz wszelkie zmiany odbywały się tylko na powierzchni jego brzuchatego wnętrza, skąd stosownie do pór roku dostawano lub ładowano tam jakieś rzeczy: palta, ciepłe rękawiczki, szaliki, kiedyś nawet dobrano się głębiej, do myśliwskiego kożuszka.

Opowiadał potem, po powrocie, że włożono go tylko raz, w czasie białej, roziskrzonej nocy na wielki mróz, do sanek. Nie napatrzył się ani górom, ani różnym innym pięknościom, bo był już „niemodny". Służył jednak często do przykrywania kolan na leżaku, gdzie na słońcu zrudział do reszty. Ale przecież nie o takie tam nowiny „narciarskie", chodziło strzelbie. O jej marzeniach wiedziała tylko stara burka sławucka, wyścielająca dno kosza bo i jakże, czyż mało najeździły się razem, przytulone do siebie ufnie, jak siostry. Czy to w lecie, w chłodne noce, czy w jesieni, w płaczliwą szarugę ranków i wieczorów, czy w zimie, gdy mróz kłół szpilkami wąsów i lodowatym oddechem. Razem wspominały teraz. strzelba i burka, swego nieodżałowanego pana: jego postać męską, wyrosłą, oczy lśniące pod czarnemi skrzydłami brwi, twarz piękną w chmurze zadumy, lub w jasności uśmiechu.

Było co wspominać, było!

Najpierw te ręce młode, pewne, zachłanne, ciepłe, pulsujące warem krwi, gotowe na wszystko, pociągające z dreszczem niecierpliwości za cyngiel przy lada okazji: do szaraka, do lisa, do jastrzębia — nawet do wrony!

— Ileż to panicz miał lat wtedy? — oblicza strzelba mozolnie.

— Dostał mnie od ojca, na sześć lat przed śmiercią starszego pana, więc mógł mieć najwyżej piętnaście lat.

Nie dorachował zmęczoną pamięcią tych młodzieńczych pokoleń, zachłystywań się nieustannych od dymu i prochu, gdy zwycięski krzyk młodości rozpierał przy każdym wystrzale jej lufę. Bo taka już jest dola strzelby — przy młodych młodnieć, przy starych starzeć!

A potem przyszły jeszcze inne czasy.

Gdy panicz, po długiej przerwie, do domu powrócił, nie poznała go strzelba, tak zmężniał i rozrósł się, jak dąb leśny.

Ręce też miał inne: męskie, stalowe, pewne i opanowane. Już nie drżały jak dawniej, zaciskając się na widok zwierzyny. Spokojnie pulsowała krew pod złotą obrączką, która lśniła przy każdem pociągnięciu za cyngiel, wydający wyrok śmierci. Wtedy dowiedziała się strzelba, że ma rywala. Śliczną panią o niebieskich oczach, która bała się morderczego huku broni i płakała nad zabitą zwierzyną — dlatego właśnie pan, znakomity myśliwy, rzadko polował.

Odpoczywała strzelba pod rogami rosochatemi, zawieszona na perskim kobiercu, błyskając chmurnie otworami luf — była zazdrosna o swego dawnego panicza.

Dużo, dużo przeszło dni, w znudzeniu niezmiernem, liczyła strzelba wschody i zachody słońca na

kwadratach posadzki. Czasem księżyc, wspólnik dawnych wzruszeń łowieckich, przesłał jej przez szybę w oknie szelmowski uśmiech porozumienia i lejem świetlistym otoczył, jak aureolą, ale to tylko zwiększało jej tęsknotę za przestrzenią i knieją.



Autorka z gończym. Fot. J. Lipkowski.

W tym czasie w domu zaszły zmiany. Od rana do wieczora rozbrzmiewały głosy, podobne zdaleka do szczebiotu ptaka. Raz nawet poczuła strzelba na swej stalowej skórze dotyk małego paluszka — był miękki jak irchowa skóra i taki miły! Żałował, że nie pozwolo dziecku dłużej się nią pobawić, dosłyszała tylko na pociechę, cichy szept pana:

— Jak synuś dorośnie, to strzelbę od tatusia dostanie.

I rósł, rósł syn, nadzieja domu. Patrzyła na niego strzelba czujnie i pilnie, gdy figlował na skórze niedźwiedziej przed kominkiem. Potem kocimi ruchami wdrapywał się na wielką kanapę i próbował podskakując dosięgnąć rzemienia strzelby, zwisającego kusząco, jak warkocz. Czuła wtedy w lufie dziwne łaskotanie, była wzruszona — marzyła. Przecież mały był z dobrego gniazda.

Raz jeszcze, pamięta, pojechała strzelba ze swoim dawnym panem na polowanie, lecz rozczarowała się boleśnie. Przeraziła się niepewnych, osłabłych rąk, a gdy cietrzew zerwał się o parę kroków i poleciał po strzale, zadała sobie wyraźne pytanie:

— Kto z nas się zmienił: on, czy ja?

Po powrocie do domu, mijając zwierciadło zawieszone w korytarzu, strzelba przejrzała się w niem szybko. Nie, była taka jak dawniej: smukła, młoda, lśniąca, nie zmieniła się nic — to postarzał pan!

A potem znów, coś dziwnego działo się na świecie. Przekonała się o tem strzelba, gdy ją pewnej nocy porwano znienacka i, owinąwszy starannie gałganami, wsadzono do pudła i zakopano w ziemię.

Żywcem pogrzebana! Czuła na sobie gniotący, nieznośny ciężar i ucisk.

Chwilami nadlatywały zdaleka jakieś potężne dudnienia i echa dalekich wystrzałów.

— Czyżby wielkie polowanie? Lecz dlaczego ja tu leżę bezczynnie — gniewała się strzelba. Nie wiedziała, że to wojna—polowanie ludzi... na ludzi!

Aż pewnej nocy, posłyszała szmer, zadzwoniła łopata o wieko jej pudła i poczuła chłód powietrza. Za chwilę ktoś ostrożnie wziął ją na ręce i przytulił do siebie.

Strzelbę ocalił z narażeniem życia młody panicz; wywiózł ją z sobą w świat, przez jakąś „zieloną granicę", jako jedyne dziedzictwo ze starego domu, który, paląc się, żegnał ich zdaleka łuną krwawego spojrzenia.

Ileż to lat, ileż to lat! — wzdycha strzelba, z lufą wtuloną w rękaw burki: — sercem nie zliczyć, pamięcią nie ogarnąć.

Zupełnie nagle, przyszła długo oczekiwana chwila radosnych wyzwoleń; zachrzęściły słomiane żebra kosza, wypakowano go do dna.

Załopotała skrzydłami rękawów burka trzepana na wietrze i strzelba sprężyła się, pod dotknięciem irchowej skóry na baczność. I znowu zdziwiła się niepomiernie, choć wydawało się jej, że zna już dobrze życie; ręce, które ją zabrały w swoje wyłączne posiadanie, były rękami — kobiety!



Z Białowieży. Powrót.

Nauczyła się teraz strzelba, że może służyć i do innych, niż dotąd celów; czasami w czasie polowań zawieszano na niej pęki kwiatów i krwawiących jarzębin, kiedyindziej w kniei była oparciem dla ręki, która tylko notowała wrażenia. A dgy zamiast strzelać, fotografowano zwierzynę, strzelba drżała, z oburzeniem biło jej stare, zasłużone serce; często, na gładkiej lufie, występowały krople.
snu i rozglądając się po lesie. Nie wiedziała, że to

— Rosa pada—mówiła pani, budząc się jakby ze stara strzelba płacze z goryczy i żalu, żegnając dawne czasy.

ZOFJA KELUS-LIPKOWSKA.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

KOMUNIKAT W SPRAWIE WYCIECZEK DO BERLINA.

Komitet Organizacyjny Polskiego Działu Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Berlinie komunikuje, że w czasie trwania Wystawy, to jest między 2 i 21 listopada r. b., zorganizowanych będzie kilka wycieczek do Berlina.

Wycieczki te z ramienia Polskiego Związku Łowieckiego organizuje Polskie Biuro Podróży „Francopol".

Szczegółowy program wycieczek opublikowany zostanie w najbliższym numerze „Łowca Polskiego".

Przybliżony koszt udziału w wycieczce, obejmujący opłaty za paszport, wizy, bilet kolejowy (pociągiem pośpiesznym) od stacji granicznej do Berlina i z powrotem, przejazd ze stacji do hotelu i z powrotem, pobyt 3-dniowy w Berlinie wraz z całodziennem utrzymaniem w hotelu — wyniesie: przy przejeździe klasą 2-gą — zł. 155, klasą 3-cią zaś — zł. 140 *).

W Berlinie pokoje zarezerwowane będą w dobrych hotelach i pensjonatach.

Za niewielką dopłatą przewidziane jest zwiedzanie Berlina autokarami.

Wycieczki te urządzane będą specjalnie dla członków Polskiego Związku Łowieckiego, jednak ze względów propagandowych — każdy z członków Związku może zgłosić udział swej rodziny.

Zgłoszenia należy kierować pod adresem Polskiego Biura Podróży „Francopol", Warszawa, Mazowiecka Nr. 9, lub jego Oddziałów — Bielsko, Wzgórze Nr. 19, Katowice, Dworcowa Nr. 18, Lwów, Plac Halicki Nr. 7, Poznań, Św. Marcina Nr. 58.

SPRAWA PRZEWOZU PSÓW MYŚLIWSKICH.

Wobec licznych zapytań w kwestji swobodnego przewozu psów myśliwskich kolejami (bez specjalnych na to zezwoleń władz administracji ogólnej I instancji), co do czego myśliwi napotykają na niektórych staciach kolejowych na trudności, a nawet sprzeciwy, wyjaśniamy, że Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych wystosowało w swoim czasie pismo okólne do wszystkich p.p. Wojewodów i p. Komisarza Rządu na m. st. Warszawę, które poniżej przytaczamy w oryginalnem brzmieniu.

Warszawa, dnia 15 września 1931 r.

„Ministerstwo Rolnictwa
Nr. 1872.-W.III.

Wskutek interwencji Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie Ministerstwo Rolnictwa oznajmia, że przewidziany w § 329 rozporządzenia Ministra Rolnictwa z dnia 9 stycznia 1928 r. (Dz. U. R. P. Nr. 19 poz 167) obowiązek wykazania się pozwoleniem Starosty na wyprowadzenie (wywiezienie, wyniesienie)) psów z obszaru zagrożonego wścieklizną, nie ma zastosowania do psów myśliwskich, policyjnych, psów inwalidzkich, o ile psy te są wyprowadzane (wywożone, wynoszone) jedynie na chwilowy pobyt, poza obrąb obszaru, zagrożonego wścieklizną, w celu użycia do polowania, względnie śledzenia przestępców lub prowadzania inwalidów.

Pan Wojewoda (Pan Komisarz Rządu) zechce zarządzić, co należy, w myśl tej wskazówki i zawiadomić o tem właściwe Dyrekcje Kolei Państwowych."

Od chwili ukazania powyższego zarządzenia nie ukazało się żedne inne w tym przedmiocie, zatem pozostaje ono i nadal w pełni obowiązujące.

*) Ceny powyższe skalkulowane zostały przy ewentualnem uzyskaniu registermarek (1 m. = zł. 1.50). W wypadku niemożności uzyskania przydziału registermarek — ceny te będą wyższe o różnicę kursu (1 m. = zł. 2.16).

SEKCJA OCHRONY NIEDŹWIEDZIA

Doroczne Walne Zgromadzenie członków Sekcji Ochrony Niedźwiedzia odbędzie się w dniu 6 października r. b. (środa), o godz. 18-ej (6-ej pop.), w lokalu Polskiego Związku Łowieckiego (Warszawa, Nowy Świat Nr. 35).

SEKCJA OCHRONY I HODOWLI ŁOSIA

Doroczne Walne Zgromadzenie członków Sekcji Ochrony i Hodowli Łosia odbędzie się w dniu 6 października r. b. (środa), o godzinie 10-ej rano, w lokalu Polskiego Związku Łowieckiego (Warszawa, Nowy Świat Nr. 35).

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

POWIAT ŁASK, WOJ. ŁÓDZKIEGO.

Na podstawie § 50 Statutu P. Z. Ł. zwołuję Walne Zgromadzenie Powiatowe na dzień 23 września 1937 roku na godzinę 16-tą w Łasku, w lokalu Sali Gimnastycznej, które będzie prawomocne bez względu na ilość obecnych.

Porządek dzienny:

1) Zagajenie.
2) Wybór sekretarza i 2-ch asesorów.
3) Wybór członków Pow. Rady Łowieckiej.
4) Wybór delegatów na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
5) Wolne wnioski.

J. MORAWSKI.
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT KUTNO, WOJ. WARSZAWSKIEGO.

Z powodu nie dojścia do skutku wyborów członków Rady Powiatowej Łowieckiej, zebranie wyborcze do tej Rady odbędzie się w dniu 25 X r. b. o godz. 16-ej w sali Czerwonego Krzyża w Kutnie.

TADEUSZ ABRAMOWSKI
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

OESTERREICHS WEIDWERK

Nr. 6 — 8/1937. O. Bernhauer *„Z życia zająca"*. — Pomimo swego rozpowszechnienia i powszedniości, zając nie może poszczycić się obfitością prac, poświęconych studjom nad rodem zajęczym. W dziedzinie nawet takich zagadnień podstawowych, jak stosunek płci, długowieczność zająca, jego rozrodczość, waga i t. p. niema prac naukowych wyczerpujących, są jedynie fragmentaryczne wyniki badań, nie będące w stanie obalić z gruntu dawnych przesądów i wierzeń, utrzymujących się dzięki temu powszechnie wśród myśliwych. Autor podjął próbę rewizji tych poglądów i w tym celu w okresie od 1931 do 1934 r. włącznie dokonywał na pokocie wszystkich polowań zajęczych, tak polnych, jak leśnych, w których brał udział, określenia płci, wieku, wagi, wyglądu zewnętrznego i stanu zdrowia ubitych zajęcy. Badaniu podległo w ten sposób 1139 zajęcy, co daje już poważną podstawę do wyprowadzenia pewnych wniosków ogólnych.

Stosując naukowe metody rozróżniania płci i wieku, szczegółowo w artykule opisane, autor otrzymał wyniki następujące: na 1139 zbadanych zajęcy było — samców 567 sztuk, czyli 49.7%, samic 572, czyli 50.3%. Stosunek ten w poszczególnych latach wahał się: od 53% samców i 47% samic w 1932 r. do

40% samców i 60% samic w 1934 r. Jeżeli chodzi o różnicę w stosunku płci w zależności od terenu łowiska, to dane te stwierdzają, że na polowaniach leśnych pada naogół nieco więcej samic, niż samców, w polu zaś więcej samców. Na podstawie tych badań autor przychodzi do przekonania, iż pokutujące wśród starych myśliwych przeświadczenie, iż na polowaniach tak zbiorowych, jak i indywidualnych, pada więcej zajęcy-samic, niż samców, a to z powodu, że samice rzekomo twardziej dotrzymują—jest bezpodstawne. Wahania nieznaczne mają miejsce w poszczególnych latach, czy w pewnych miejscowościach, w zależności od warunków klimatycznych czy lokalnych, ale przeciętna za szereg lat wykazuje stosunek płci niemal zupełnie równy. Opinja myśliwych dawnych jest pod tym względem dlatego jeszcze niemiarodajna, że określenie płci jest u zajęcy b. trudne i musi być dokonywane niezwłoczni po ubiciu zwierzyny, co się zazwyczaj zaniedbuje. Pozatem, np. w literaturze fachowej niemieckiej dokładne sposoby określania płci zajęcy ukazały się po raz pierwszy w 1925 r.

Fakt twardszego zalegania zajęcy w pewnych przypadkach przypisuje autor nie odmienności płci, ale wiekowi zajęcy: młode, niedoświadczone zające przywarowują podczas niebezpieczeństwa, mając nadzieję że ominie go ono, ale stare, nieraz już ostrzeliwane koty pomykają pierwsze, albo zawracają na naganke czy skrzydła.

Badania dotyczące wieku zajęcy dały wyniki następujące: z ogólnej ilości 1139 zbadanych zajęcy, młodych (poniżej 2 lat) było 52%, starych—48%; stosunek ten wahał się jednak w latach poszczególnych od 40% młodych i 60% starych zajęcy, do 64% młodych i 36% starych. Jest rzeczą interesującą, że na polowaniach leśnych padało więcej zajęcy młodych, przy polowaniu w polu — więcej zajęcy starych, co autor tłomaczy tem, że przy rzadszej linji naganiaczy w polu młode zające przywarowywały i przepuszczały nagankę. Stosunek płci wśród zajęcy młodych stanowił: 49% samców i 51% samic, wśród zajęcy zaś starych odwrotnie — 51% samców, a 49% samic.

Najdłuższy wiek życia zająca określał Brehm na 8 lat, późniejsi badacze redukują go do 6—7 lat, autor zaś uważa, że w obecnych warunkach intensywnego polowania żywot zająca nie trwa dłużej nad 4—5 lat, przyczem najwięcej jest zajęcy w wieku lat 2. Co się tyczy rozmnoży, to na podstawie przeprowadzonych badań autor określa, iż każda zajęczyca dorosła daje co roku średnio 4 młode, a nie 10, jak twierdzono dawniej, gdyż ani wyniki polowań, ani stan zajęcy tak dużego przyrostu nie potwierdzają. Wreszcie, jeżeli chodzi o wagę, to 51.3% ubitych zajęcy ważyło od 3 do 3.9 kg., wagę 4 i więcej kg. posiadało 34.2%, zaś mniejszą niż 3 kg. — 14.5%. Samice przytem posiadały w znacznej większości wypadków, bo w 66%, wagę większą od samców.

LE SAINT HUBERT

Nr. 9/1937 p. Soie *„Nowe prawo o szkodach czynionych przez zwierzynę"*. — Izba Deputowanych na jednem z ostatnich swych posiedzeń uchwaliła nowelę do prawa łowieckiego z dnia 10 marca 1930 r. Nowe prawo, które dotyczy odszkodowań za straty czynione przez zwierzynę, zyskało moc prawną 24 lipca r. b. i ogłoszone zostało w Journal Officiel.

Historja przeprowadzonej zmiany nie jest pozbawiona pewnej sensacji. W 1933 r. a następnie w 1935 r. trzej deputowani pp. Mendès oraz F. i G. Guérin, złożyli wniosek o zmianę brzmienia art. 2 prawa z dn. 10 marca 1930 r., ustanawiającego odpowiedzialność za szkody czynione w zbiorach przez króliki, wskazując na wadliwą redakcję tego artykułu, powodującą rozbieżność w jego komentowaniu, a nawet, rzekomo, sprzeczną z kodeksem cywilnym. Wniosek przekazany został komisji do spraw rolnych, która ustaliła nowe brzmienie art. 2 wymienionego prawa i przedłożyła go plenum Izby Deputowanych. I tu nastąpiła rzecz nieoczekiwana przez zbyt pochopnych wnioskodawców, bo Izba nie zadowoliła się wygładzeniem tekstu, lecz postanowiła działanie art. 2 rozciągnąć na szkody czynione przez wszelką wogóle zwierzynę, nietylko przez króliki. Projekt zwrócony został komisji i po przerobieniu uchwalony został w nowem, rozszerzonem brzmieniu zarówno przez Izbę Deputowanych, jak i przez Senat.

Nowe prawo z dn. 24 lipca r. b. zmienia z gruntu postanowienia poprzedniego prawa z dn. 10 marca 1930 r. To ostatnie miało swoje źródło w uchwałach, powziętych jeszcze przez rewolucyjny Dyrektorjat z końca w. XVIII, mocą których króliki uznane zostały za szkodniki, które właściciel łowiska obowiązany był bądź tępić, bądź też płacić za czynione przez nie szkody. Dziś do tej samej kategorji szkodników zaliczono wszelką zwierzynę i autor wyraża słuszną obawę, czy duże wysiłki, czynione ostatnio przez łowiectwo francuskie w kierunku rozmnoży zwierzyny, nie ulegną wskutek tego zahamowaniu

KRONIKA MYŚLIWSKA

W dniu 17 września odbyło się polowanie na kuropatwy (pędzone) w maj. „Żydowo" pow. włocławskiego ogólnej przestrzeni 14 włók.

W 12 pędzeniach ubito 339 kuropatw. Najwięcej miał na rozkładzie Dyr. Jerzy Łopuchin, (58 sztuk). Prowadził polowanie płk. Aleksander Laszenko.

Zwierzostan jest tak dobry, że możnaby było odstrzelić jeszcze drugie tyle bez straty dla łowiska.

A. Laszenko
Podłowczy pow. P. Z. Ł.

TREŚĆ NUMERU.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Leski, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, K. Wodzicki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu — 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.
Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł.
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

OGŁOSZENIA DROBNE

Cocker-Spaniele rasowe dwumiesięczne, sprzedam Hieronim Siemieński, Silnica, p. Silniczka.

Młody leśnik z egzaminem Wlkp. Izby Rolniczej, po wojskowości, mogący się powołać na pierwszorzędne referencje, szuka posady pomocnika leśniczego, łowieckiego lub podobnej. Łaskawe zgłoszenia: Dachowski Antoni, leśnictwo, Nowawieś, poczta Laski pow. Kępno.

Nabywam druki, medale, odznaki myśliwskie. Inż. Przybylski, Poznań, ul. Śniadeckich 16.

Prima albinofretki 12 zł. Leśnictwo, Dłoń Wielkopolska.

Pointer suczka 4 miesięczna po Splendor „Arji" i Marbiel „Impie" okazyjnie do sprzedania. Ul. Hoża 68 m. 5., godz. 4.30—6.

Po służbie wojskowej, poszukuję posady **strażnika łowieckiego, gajowego** lub innej podobnej; pożądane Polesie. Zgłoszenia kierować proszę pod adresem: Tadeusz Babak, Chmielna 59 m. 19, Warszawa.

Poszukuje się psa, zaprawionego do polowań na dziki; zgłoszenia do Redakcji Łowca Polskiego pod dzikarz.

Posokowce hanowerskie, pies i suczka, urodzone 25.IX.37 r. po importach **Wartho v. Feuerstein i Gerbaulet's Gauda** (patrz Nr. 26/37 r. Łowca Polskiego) sprzeda po odchowaniu to jest około 1 IX r. b. Dr. Inż. L. Ossowski, Toruń, Dyr. Lasów Państw. Informacje tamże. Znaczek pocztowy na odpowiedź.

Rykowisko jeleni. Odstrzał dwóch byków po 800.— złotych za sztukę. Reflektanci zechcą telegraficznie zawiadomić Zarząd Dóbr Pilczyce, poczta Słupia k/Końskich, tel. Słupia 9. Zadatek 300.— złotych na miejscu. Dojechać można koleją do stacji Radomsko, lub Końskie, dalej autobusem lub końmi. Szosa na miejscu.

Sieci do łapania zajęcy i kuropatw w dobrym stanie do sprzedania. Wiadomość w Redakcji „Łowca Polskiego".

Strzelca-gajowego energicznego po wojsku, znającego pszczelarstwo, tresurę wyżłów, przyjmie majątek Rakowica, poczta Łyszczyce.

Szczenięta settery angielskie z rodowodami sprzedam. Solec 51 m. 65 Lubimow.

Wyżełki irlandzkie po wyjątkowo pięknych i pierwszorzędnych polowych rodzicach. Rakowica, p. Łyszczyce.










WARSZAWSKA
SPÓŁKA MYŚLIWSKA
WARSZAWA

